

Świt Czarnego Wilka

Seria Istoty Nocy

The Black Wolf's Dawn

Aylin Red

*Miłość i ciekawość czynią nas
nieprzewidywalnymi*

Rozdział 1

Ból nie był ostry. Rozlewał się pod skórą — tępy, głęboki, jak coś zepsutego od dawna. Każdy oddech kosztował.

Poruszył prawą ręką.

Palce zanurzyły się w czymś lepkiem. Podniósł je — ciemne, błyszczące w księżycowym świetle.

Krew.

Dużo krwi.

Głowa opadła. Kamień wbił się w kark i został — ostry, mokry od rosy. Tim nie miał siły tego poprawić. Ziemia pod nim była twarda i zimna, chłód wchodził przez ubranie, warstwa po warstwie. Spojrzał w górę.

Niebo — czarne, nabite gwiazdami. A pośrodku księżyc. Białe jak kość. Zaczął się rozmazywać, krawędzie tarczy rozmiękły i rozchodziły się powoli.

Tim mrugnął.

Nic to nie dało. Dźwięki schodziły na inny poziom — przytłumione, jakby ktoś zakręcił głośność. Szum wiatru. Trzask gdzieś daleko.

I głos, urwany, zbyt cichy żeby złożyć w słowa.

Potem kroki.

Szybkie.

Ktoś padł obok na kolana — ziemia przyjęła ciężar z dźwiękiem który Tim poczuł w żebrach zanim usłyszał uszami. Przez mgłę, przez tętnienie w skroniach — twarz.

Oczy.

Srebrne, jasne w ciemności, i wilgotne — łyzy stały w nich bez ruchu.

Zapach trafił go zanim zdążył myśleć — coś leśnego, żywicznego, z nutą dymu. Nie ludzkiego.

— Nie mogę... — powiedział głos.

Reszta zdania nie przyszła.

Zamknął oczy.

Ciemność przyszła bez końca. Tim płynął w niej na własnym oddechu — płytkim, coraz bardziej oddalonym.

Potem dłonie na jego twarzy.

Zimne — jak metal który leżał zbyt długo w cieniu — po obu stronach policzków. Nacisk pewny, bez pytania, palce lekko rozpostarte jakby chciały objąć więcej niż mogły. Kciuk przy jego policzku. Tim poczuł ciężar tych dłoni zanim poczuł cokolwiek innego — i coś w nim, głęboko, przestało się szarpać.

Poczuł ciszę, wszechogarniającą.

I ostatnie, zanim wszystko zgasło — coś upadło na policzek.

Ciepłe, pojedyncze.

Spłynęło powoli po skórze i wsiąkło tam gdzie wsiąkało wszystko tej nocy.

— Tim... *proszę*...



Salon pachniał kwiatami — ostrą, słodką nutą, która przez chwilę przykrywała to pod spodem. Lydia weszła i stanęła w progu. Parkiet pod stopami skrzypnął cicho — jeden dźwięk, natychmiast pochłonięty przez ciężkie tkaniny i wysokie ściany. Powietrze w środku było nieruchome. Chłodniejsze niż na korytarzu, z ciepłem ognia w kominku po prawej, które nie docierało dalej niż na dwa metry.

Sofia stała przy oknie. Jasna sukienka, kontur wyprostowany pod światło — twarz nieczytelna z tej odległości, srebro włosów rozpuszczonych na plecach.

Lydia usiadła na kanapie. Aksamit pod dłonią zimny, ciężki. Noga na nogę, dłonie złożone na kolanie, twarz spokojna.

Poczekala.

— Odrzuciłaś obu kandydatów. — Sofia nie odwróciła się od okna. — Dlaczego?

— Bo nie.

Teraz się odwróciła.

Powoli, każdy krok mierzony — podeszła i stanęła, ręce splecione z przodu, wzrok na Lydii.

— Masz dwieście lat — powiedziała. — Czas pomyśleć o mężu. O potomstwie.

— Każdy z nich był słaby.

— To kwestia negocjacji.

— Poza tym — Lydia odgarnęła włosy — nie chcę dzieci.

Cisza.

Kącik ust Sofii drgnął. Jeden mały ruch, precyzyjny jak cięcie.

— To twój *obowiązek*. Jesteś *najstarsza*.

Lydia wstała.

Nie gwałtownie — wstała tak jak zawsze robiła wszystko, z tym samym opanowaniem, ale w oczach coś przeszło. Złoto przez ułamek sekundy zrobiło się czerwone — rozlało się za gałkami ocznymi jak ciepło za zbyt cienką szybą — i wróciło.

— I co z tego? — powiedziała. — Augustin jest głową rodziny. Może niech on otworzy warsztat bacherów.

Sofia ruszyła w jej stronę.

Każdy krok równy, mierzony — obcasy ciche na dywanie, głośniejsze tam gdzie dywan się kończył i zaczynała naga deska — i Lydia śledziła to tak jak śledzi się coś niebezpiecznego. Nie ze strachu. Z uwagi.

— Te *bachory* — wymówiła to słowo tak, jakby trzymała je między dwoma palcami — to przywilej. My możemy mieć dzieci. W przeciwieństwie—

— Ale za jaką cenę?!

Wyrwało się. Głośniejsze niż chciała. Czerwień w oczach tym razem dłużej, wyraźniej.

— Chory rytuał krwi, który może mnie zabić?

Dłoń Sofii wylądowała na jej policzku.

Jedno precyzyjne uderzenie, suchy trzask, i cisza.

Tylko ogień w kominku.

Głowa Lydii poszła w bok — centymetry, nie więcej — i zostało po tym napięcie w szyi, ciepło rozkładające się szybko od miejsca kontaktu w górę do ucha i w dół do szczęki.

Sofia cofnęła się o krok. Przeczesała srebrne włosy spokojnym gestem.

— Ja swoją cenę zapłaciłam — powiedziała. Cicho, równo. — I nie żałuję.

Cisza.

Wzrok Sofii przeszedł po Lydii — od góry do dołu — powoli, bez pośpiechu, jak ktoś oglądający coś, co dobrze zna i wciąż nie rozumie.

— Choć... — Urwała. — Czasem patrząc na to, jak się zachowujecie.

Zdanie zostało w powietrzu twardsze od wszystkiego co mogła powiedzieć wprost.

Lydia stała z dłonią przy policzku. Nie masowała — trzymała, palce płasko na skórze. Ciepło uderzenia nie chciało stygnąć. Plecy miała proste — odruchowo, bez decyzji — szczeka zamknięta, żadnego drżenia w mięśniu.

Sofia usiadła. Noga założona na nodze, plecy proste.

Lydia знаła historię rytuału. Widziała to inaczej po uderzeniu — matka wyprostowana na kanapie, dłonie złożone, wzrok gdzie indziej. Trzy razy przez to przeszła. Nosi to tak jak wszystko inne, bez słowa i bez teatru, z tym samym zimnym kręgosłupem który Lydia odziedziczyła.

Ręka opadła. Policzek przestał parzyć. Za mostkiem coś się ścisnęło, nisko, i nie puszczało.

— Dragana dopilnowałaby rytuału — powiedziała Sofia. Ton rzeczowy, od linii do linii. — Nie zginiesz.

Lydia milczała.

— Przeżyliśmy poród Augustina — dodała. W tym zdaniu coś nie było do końca chłodne. Gorzkie raczej, stare, noszone za długo.

— Nie może być gorzej.

Spojrzała na matkę.

— Przemyśle to — powiedziała Lydia.

Sofia spojrzała na nią przez sekundę — i skinęła głową. Krótko, bez komentarza.

Rozdział 2

Lampy świeciły białą, gorącą i bezlitosną. Studio pachniało lakierem do włosów, pudrem i suchym zapachem nowych tkanin — tym, który osiada na języku jak kreda.

Siedziała na wysokim stołku — noga założona na nogę, jedwabna bluzka w kolorze starego różu spływała z ramion miękko i przylegiwało w dokładnie właściwych miejscach. Długie włosy spięte luźno, kilka pasm wymykało się przy skroni z precyzją, którą osiąga się albo latami ćwiczeń, albo wcale.

Fotografka traciła kadr za kadrem.

Studio pracowało wokół niej w skupieniu — nie na obiektywie, na niej. Powietrze zmieniło się gdzieś w ciągu ostatniej godziny: pod pudrem i lakierem coś cięższego, zbyt słodkiego jak na to pomieszczenie.

Fotografka krążyła z aparatem przy twarzy, co chwilę przymykając jedno oko i stukając w spust.

— Wyglądasz wspaniale — powiedziała, cofając się o krok. — Takie słodko sexy.

Kąciki ust uniosły się.

— Ach, dzięki.

Rozejrzała się po pomieszczeniu.

Asystent przy drzwiach wertował coś w telefonie. Charakteryzatorka dłubała w pędzelkach. Ktoś z ekipy oświetleniowej rozmawiał z kawą, o której zapomniał.

— Całe to pozowanie mnie wymęczyło — dodała, prawie beztrzesko.

— Spokojnie. — Fotografka opuściła aparat, uśmiech szczery, zawodowy. — Jeszcze parę zdjęć i idziemy na lunch.

Zsunęła się ze stołka. Jedwab ześlizgnął się z ramienia. Stopy dotknęły podłogi cicho, bez dźwięku — i podeszła do fotografki pewnym krokiem, nie śpiesząc się.

Palce zacisnęły się na brodzie kobiety. Pewnie, bez gwałtowności. Fotografka zamarła. Obiektyw zwiślał przy jej boku.

— Widzisz — powiedziała cicho, tym samym swobodnym tonem — ja jestem głodna teraz.

Fotografka cofnęła się o centymetr — instynkt głośniejszy niż rozum. Mięśnie szyi napięły się. Usta rozchyliły się, ale nic z nich nie wyszło.

Z boku ktoś się poruszył. Asystent oderwał wzrok od telefonu.

Wolna ręka uniosła się, nie odwracając się — i asystent zatrzymał się tam gdzie stał, jakby zapomniał co chciał zrobić.

Usta się lekko rozchyliły.



Misja zaprowadziła ich głęboko w lasy otaczające Oravalle, gdzie pradawne drzewa rosły tak gęsto, że ich korony pochłaniały gwiazdy w całości. Grom poruszał się przez zarośla w ciszy, buty bezgłośnie na suchych liściach, gdy inni Strażnicy rozpraszali się w ciemność wokół niego.

Trzy dni tropienia przyprowadziły ich tutaj. Woda płynąca w złą stronę. Ognie palące się bez paliwa. Ziemia przemieszczająca się tam, gdzie żadne stopy nie chodziły. Zbuntowani magowie żywiołów — subtelni, wyszkoleni, ostrożni. Tej nocy, pod księżycem, który wyglądał zbyt jasno i zbyt obecnie, skończyło im się miejsce do chowania.

Znalazł swój cel przy brzegu jeziora.

Srebrno-białe włosy. Niebieskie oczy łapiące księżycowe światło i nie oddające go.

Mag Księżyca.

Najrzadszy z magów wody, moc przywiązana do księżyca nad głową jak uwięź. Spojrzała na niego i rozpoznanie przemknęło przez jej twarz — nie jego konkretnie, ale tego, czym był. Jego włosy. Jego oczy. Znamię krwi, które nie należało w pełni do szeregów Zakonu.

— Jesteś jednym z nas — wyszeptała. Nie oskarżenie. Coś bliższego żalości.

— Nie. — Słowo wyszło płasko, jak krawędź ostrza.

Mimo to zebrała wodę z jeziora — rozpaczliwe strumienie ciągnące się ku niej, srebrne w mroku. Uniósł rękę. Elektryczność przyszła bez pytania, tak jak zawsze pod pełnią, krew matki śpiewając głośno w żyłach.

— Woda i piorun — powiedział. — Ciekaw jestem, kto wygra.

Nie dał jej czasu, żeby się przekonała.

Powierzchnia jeziora zastygła. Zbyt nieruchoma, zbyt doskonała, jak lustro dociśnięte do płaskiego. Grom stał nad jej ciałem i obserwował, jak ostatnie iskry gasną na jego palcach.

Jednym z nas.

Odwrócił się od zwłok i wszedł w ciszę, która nie powinna być ciszą.

Za cicho.

Pierwsze ciało pojawiło się między dwoma pradawnymi dębami — Strażnik Peter, gardło otwarte z chirurgiczną precyzją. Żadnej walki. Żadnych ran obronnych. Tylko śmierć przychodząca zanim strach zdążył. Jeszcze trzech Strażników rozrzuconych między liśćmi, zbuntowani magowie przy nich — wszyscy tak samo. Ktoś czyścił scenę.

Ostrze zmaterializowało się w jego dłoni. Odwrócił się powoli, czytając ciemność między drzewami — i poczuł to zanim zobaczył. Łaskotanie przez tył karku, jak palce przesuwające się po zimnej skórze.

Potem pojawiły się oczy.

Złote.

Dwa punkty stopionego metalu zawieszone w niczym, mrugające raz, powolnie i bez pośpiechu.

Cienie zebrały się. Postać wyłoniła się z ciemności — nieuchronnie, cierpliwie.

Wysoki. Błady — nie brak koloru, ale coś innego pod skórą, coś co od bardzo dawna przestało potrzebować ciepła. Czarna koszula, dopasowane spodnie, marynarka zarzucona na ramiona z nonszalancją kogoś, kto nigdy w życiu nie potrzebował zbroi. Złote włosy trzymające księżyc inaczej niż powinny — zbyt jasno, zbyt celowo.

I zimno naciskające przez skórę z odległości trzech metrów.

Oczy cały czas na niego patrzyły. Beznamiętne. Zainteresowanie kogoś, kto już zdecydował jak to się skończy i po prostu obserwuje środkową część. Elektryczność pod skórą Groma zareagowała głucho.

W rękach trzymał jedną różę.

Żółtą.

Coś w piersi drgnęło — i słowo wyszło przed myślą.

— Augustin.

Usta czystokrwistego się poruszyły.

— Co za zaszczyt. Słyszałeś o mnie. — Słowa precyzyjne, wypolerowane, z ciepłem świeżo naostrzonego ostrza.

— Kto nie słyszał. — Olivier trwał nieruchomo, katalogując wyjścia, obliczając szanse, które już wiedział, że były niemożliwe.

— Zabiłeś ich wszystkich.

— Chciałem porozmawiać. — Augustin przechylił głowę lekko, ruch zbyt płynny, żeby był całkowicie ludzki. — Tylko we dwoje.



Niebo nad ogrodem było czarne, gęste od gwiazd.

Ogród Doriana — kamienna ścieżka wśród krzewów lawendy, szarych i martwych w tej ciemności, kilka posągów z białego marmuru z oczami wygładzonymi przez deszcz — ciągnął się wzdłuż murów starego domu, gdzieś na skraju miasta, gdzie Stellis zaczynało się rwać i rozpadać w przemysłowe zaułki.

Dorian szedł powoli.

Zimno nocy wchodziło przez koszulę i marynarkę, siadało na przegubach, wzdłuż kości palców. Ręce splecione za plecami — zbyt mocno. Każdy krok jednostajny i odmierzony, kamień ścieżki znajomy pod podeszwą. Lawendowe krzewy po bokach, zapach unosił się łagodnie.

Zatrzymał się przy kamiennym ogrodzeniu i podniósł wzrok na niebo.

Wziął głęboki oddech. Magia pod żebrami — ta, która w inne noce siedziała tam cicho i pełna — tliła się. Cień siebie. Wypuścił powietrze.

Nienawidził tej nocy bardziej niż cokolwiek innego.

Odwrócił się i wszedł do środka.

Ciepło uderzyło go od progu — suche, z dymem i woskiem, po zimnie ogrodu niemal namacalne. Dom pachniał ziołami i czymś starym — pyłem, kamieniem, kurzem z półek pełnych książek.

W głównej sali palił się kominek, a przy nim i przy stole siedziało kilka osób, cicho, rozproszonych, każda w swoim kącie. Kilku mężczyzn przy mapach. Dwie kobiety przy wąskim blacie, szeptające coś nad szklanym naczyniem, w którym migotał fioletowy płomień. Światło w pokoju było pomarańczowe i nierówne, cienie chodziły po ścianach razem z ogniem.

Magowie księżycy.

Moi — pomyślał Dorian.

Jedna z kobiet oderwała się od grupy, kiedy wszedł.

Wysoka, ciemnoskóra, z krótkimi włosami przyciętymi przy czaszce i oczami, w których zawsze coś liczyła. Nadira.

— Mam złe wieści. — Stała przed nim, bez wstępu. — Grupa z Martiłą. Zostali zabici.

Dorian przeszedł jeszcze dwa kroki. Stał.

Odwrócił się.

— Wszyscy?

— Wszyscy.

Powietrze w pokoju zgęstniało. Ktoś przy mapach podniósł wzrok, ale nic nie powiedział. Nikt nic nie mówił.

Dorian nie odpowiedział od razu. Stał, ciężar rąk bardziej obecny niż zwykle, i patrzył na Nadirę — przez nią. Palce powoli zwinęły się w pięść, kłykiec biały pod skórą.

Martina. Cztery lata. Uparta i gwałtowna, nie słuchała rozkazów w połowie przypadków — ale rozumiała. Rozumiała, co Zakon robi z takimi jak oni, co Druidzi robią. Rozumiała i walczyła.

A teraz nie żyła.

— Kto? — zapytał cicho.

Nadira nie wahała się.

— Grom.

Cisza.

Polano pękło w kominku, iskry strzeliły w górę i opadły.

Dorian odwrócił wzrok w stronę okna. Za ciemną szybą ogród, kamienna ścieżka, lawendowe krzewy bez koloru.

Grom.

Wiedział jak wygląda — zdjęcia, opisy. Białe-srebrne włosy, zimne błękitne oczy, ledwo dwadzieścia lat.

Wicekapitan drugiej dywizji Zakonu.

Najszybciej awansujący Strażnik od dekad, razem z Tytanią.

I ta anomalia, której Dorian nie umiał do końca skatalogować: wyglądał jak mag księżyca, a władał piorunem.

Dwa rzadkie rodzaje w jednym ciele, w jednym młodym mężczyźnie, który używał tego daru, żeby zabijać takich jak Dorian.

Mógł rozumieć. Mógł walczyć po właściwej stronie — zamiast tego wybrał Zakon, ich mundur, ich moralność, i teraz zabijał magów księżyca w imię porządku, który nigdy nie działał dla nikogo takiego jak oni.

Za oknem ogród stał bez ruchu. Coś gorzkie przyszło z tyłu języka, osiadło na nasadzie gardła i zostało.

Drugi mężczyzna wstał od stołu z mapami — Cale, starszy, twarz pocięta przez dwie blizny wzdłuż szczęki, włosy spięte z tyłu.

— Jest jeszcze sprawa Tima. — Podszedł, głos niski. — Jego wilki węższą blisko nas.

Dorian powoli odwrócił głowę.

— Od jak dawna?

— Tydzień. Może trochę dłużej. Zacieramy ślady, ale jest ich coraz więcej.

Pokój czekał.

Dorian kiwnął głową — spokojnie, bez pośpiechu.

— Jak będzie trzeba, to pozbędziemy się tego starego wilka. — Urwał. — Być może czas na emeryturę.

Kilka osób kiwnęło głowami.

Cale wrócił do map. Nadira wróciła do swojego miejsca przy blacie.

Pokój zaczął oddychać.

Dorian nie ruszył się.

Stał przy oknie, ramiona skrzyżowane, i patrzył w ciemny ogród. Lawendowe krzewy stały bez ruchu, czarne sylwetki na tle jeszcze czarniejszej ściany.

Gdzieś za murami Stellis — odległy silnik, hałas miasta, który nigdy całkiem nie milkł.

Palce na skrzyżowanych ramionach zacisnęły się mocniej.

Rozdział 3

Tim wyszedł z jaskini druidów i przez sekundę stał nieruchomo, oczy zamknięte. Powietrze na zewnątrz uderzyło go wilgocią i zapachem mchu — ten sam zapach, co zawsze, jakby czas tam nie istniał. Może nie istniał. Pod stopami ziemia miękka, mokra, zupełnie inaczej niż kamień wewnątrz.

— Kurwa — powiedział i otworzył portal.

Gabinet zamknął się za nim z cichym sykiem. Skórzany fotel skrzypnął pod jego ciężarem znajomo. Oparł się, barki opadły o centymetr, i poczuł jak mięśnie wzdłuż karku zaczynają odpuszczać powoli, z oporem. Biurko przed nim zastawione mapami i papierami, których przez ostatnie tygodnie nawet nie ruszał. Lampa kładła ciepłe światło na stary pergamin, na linie granic narysowane ręką, której Tim już dawno nie pamiętał.

Spojrzał na dłonie złożone na kolanach. Kostki bledsze tam, gdzie lata zostawiły po sobie paski.

— Za stary jestem na to — mruknął.

Cisza odpowiedziała sekundę za długo.

Potem dym — szalwiowy, z nutą czegoś starszego i surowszego — przyszedł od strony okna, zanim ona sama. Powietrze w pokoju zgęstniało przy lewej ścianie najpierw, potem wszędzie.

— Za stary? — Pojawiła się przy oknie bez pośpiechu, srebrne włosy spływające luźno, szare uszko drgnęło raz. Usiadła na fotelu i założyła nogę na nogę. — Ile masz lat, czterdzieści pięć? — Uśmiechnęła się szerzej. — To nic. *Małolat*.

Tim pokręcił głową.

— Wybacz, o wielka nieśmiertelna.

Zaśmiała się cicho.

Założyła brodę na dłoni, srebrne oczy przesunęły się po pokoju z leniwą uwagą kogoś, kto widzi więcej niż to, co oświetla lampa.

I przez jedną sekundę wzrok zatrzymał się na nim inaczej — cicho, bez katalogu. Znikło.

Uśmiech wrócił.

— No więc? — zapytała. — Edna dalej się dąsa?

Tim przyłożył dłoń do czoła. Masował skroń powolnym ruchem.

— Twoja вина — powiedział.

Ilva rozłożyła ręce w geście całkowicie pozbawionym poczucia winy.

— Przynajmniej Viktor i Elias żyją — powiedziała. — Nie marudź.

— Chociaż tyle — mruknął.

Przez chwilę siedzieli w ciszy.

Tim patrzył na mapę na biurku — zachodnia Novaterra, linie granic narysowane starym atramentem, miejsca zaznaczone punktami, których znaczenie pamiętał tylko on. Przesunął palcem po krawędzi pergaminu, powoli, bez celu. Suchy i szorstki pod opuszką, papier który przeżył kilka rąk przed nim.

Zmęczenie siedziało wysoko — za oczami, w szczękę. Spotkanie z druidami zawsze to robiło.

Skrzyżował ręce na piersi.

— Skoro o nich mowa. — Myśl dojrzewała od pewnego czasu, ale powiedział to teraz, bo gabinet był pusty od świadków. — Myślę, że czas, żebym ustąpił. Z bycia alfą tego regionu.

Ilva spojrzała na niego.

Uśmiech się poszerzył — nieznacznie.

— Ach — powiedziała. — Jest jeszcze Adrian. Trzy młode wilki.

— Młode. — Tim spojrzał na nią z cierpliwością człowieka, który dawno przestał walczyć z pewnymi komentarzami. — Każdy z nich jest po *trzydziestce*.

— Wciąż szczeniaki.

— Z perspektywy kogoś, kto powinien być antykiem w muzeum, owszem. — Odchylił się w fotelu, drewno cicho protestowało pod jego ciężarem. — Oświeć mnie zatem, o nieśmiertelna. Którego mam wybrać na następcę?

Ilva patrzyła na niego przez chwilę, a potem uniosła dłoń i wykonała gest zamkniętych ust. Palce złożone, zaciśnięte, mały uśmiech ponad nimi.

— I zabrać ci całą niespodziankę? — powiedziała. — Nie ma mowy.

Tim patrzył na nią z grymasem, który nie był do końca grymasem.

— Nie cierpię cię.

— Kochasz mnie. — Odwróciła wzrok w stronę okna. — Nie marudź.

Powiedziała to lekko, tonem przekomarzania, tym samym co zawsze. Palce na jej dłoni, opartej na poręczy fotela, zacisnęły się na ułamek sekundy — cicho, bez powodu.

Okno za nią było czarne. Nic w nim nie było widać.

Tim przewrócił oczami i wrócił do mapy.

Ile to już lat.

Alfa zachodniej Novaterry — nie pamiętał kiedy ten tytuł przestał być ciężarem, a zaczął być po prostu nim. Gdzieś po dwudziestym roku. Może po dwudziestym piątym.

Pamiętał za to każdą watahę, którą wchłonał, każdą granicę, którą musiał bronić, każdego wilka, którego pochował.

Pamiętał Eliasa — młodszego, z furią w oczach, która albo zabija człowieka, albo rzeźbi z niego coś wartościowego.

Pamiętał Viktora, siłę bez cierpliwości, szukającą ujścia.

Pamiętał Adriana przed stratą watahy i po — i to, jak szukał sensu swojego życia.

Trzy wilki.

Każdy niósł coś innego. Każdy niósł też coś, co mogłoby go złamać w złym momencie.

Ilva siedziała nieruchomo przy oknie, sylwetka delikatna na tle szyby. Za szybą ciemność i mokre gałęzie — deszcz zaczął padać cicho, krople spływały po szkle nieregularnie. Ogon owinięty spokojnie wokół nogi fotela. Ten mały uśmiech na twarzy — Tim wiedział od dawna, że za nim kryje się coś, co ona widzi wyraźnie, a on dopiero zaczyna rozumieć.

I nigdy, ani razu przez wszystkie lata, nie powiedziała mu wprost.

Odłożył papier, oparł łokcie na biurku i patrzył na mapę.

— Jakaś podpowiedź? — powiedział w końcu, cicho.

Ilva odwróciła głowę. Uszko drgnęło.

— Czasem zmiana — odpowiedziała, równie cicho — musi być w nas.

Nie dodała nic więcej.

Powiadomienie wyskoczyło na jego telefonie. Sprawdził — jakieś zlecenie na Jaskini.

Przeczytał.

Kciuk zawisł nad kwotą.

Jeszcze raz przeczytał.

— Ile?! — Tim nie krył zdziwienia. Kliknął akceptuj.

Ilva zaśmiała się cicho.

— Serio, Tim?

— Serio, Ilva — odparł poważnie, choć wzrok mu uciekł ku oknu.

Ilva uśmiechnęła się lekko w jego stronę i wróciła wzrokiem na ogród.



Głos matki dobiegał z salonu zanim Lydia doszła do progu.

Nie słowa — ton. Miękki, z naciskiem pod spodem, jak aksamit naciągnięty zbyt ciasno. Obcasy ledwo dotykały kamiennej posadzki, dźwięk miarowy i suchy. Marmur chłodny nawet przez podeszwę, blady i żyłkowany. Wzdłuż ścian wąskie stoliki z wazonami — wszystkie bez czerwonych kwiatów — a kandelabry rzuciły złote plamy na tapetę koloru głębokiego granatu.

Zatrzymała się w progu.

Salon był obszerny. Ogień w kominku dawał jedyne ciepło — suche, nierówne, pachnące drzewem i czymś żywicznym — i nie docierało dalej niż na połowę przestrzeni. Meble ciężkie, drewno ciemne, tkaniny gęste.

Przy kominku siedziała Sofia — prosta sylwetka, srebrne włosy upięte wysoko, grafitowa sukienka z długim rękawem. Dłoń spoczywała luźno na kolanie, palce nieruchome z tą specyficzną beczynnością, za którą kryje się skupienie.

Dragana zajmowała fotel naprzeciwko, jej czerwone oczy prześlizgiwały się po rozmowie jak ktoś, kto zanim cokolwiek powie, chce widzieć całą planszę. Czerwone korale na szyi jak zawsze — duże, okrągłe paciorki, niemal wulgarne w swojej masywności przy reszcie jej osoby.

Augustin siedział nieco z boku. Tablet na kolanie, wzrok pozornie przy ekranie — ale Lydia знаła tę pozę od dekad. Słuchał.

— Augustin, musisz stać się bardziej aktywny — mówiła Sofia. — Słyszałam dziwne plotki o tym, że są niektórzy czystokrwieści, którzy uważają, że—

— Nie obchodzi mnie to.

Machnął ręką. Nawet nie podniósł wzroku.

Sofia pokiwała głową powoli. Kącik jej ust zacisnął się — drobny ruch, natychmiast opanowany.

— Nie wiem, czy by dali radę — odezwała się Dragana, jej głos nosił ciężar slavari, powolny i suchy — gdyby nasz młody panicz był *bardziej* aktywny.

Lydia przygryzła dolną wargę.

Augustin spojrzał na Draganą. Złote oczy przez chwilę absolutnie bez wyrazu.

— Dzięki, Dragano — powiedział, z nutą sarkazmu.

Dragana nie mrugnęła.

Sofia odwróciła wzrok od syna i spoczęła nim na Lydii, stojącej w progu.

— Lydia. — Głos matki zmienił rejestr — nie cieplejszy, ale inny, z naciskiem który Lydia знаła od stu lat. — Powinnaś pomyśleć o przyszłości. O rodzinie. O zamążpójściu i potomstwie.

Lydia weszła do salonu.

Podłoga pod dywanem skrzypnęła raz — cicho, ale słyszalnie — i ciepło kominka zaczęło docierać przez tkaninę spódniczki od lewej strony. Usiadła na kanapie naprzeciwko matki. Złożyła dłonie na kolanie, kciuk lekko pod palcami — odruchowo.

— Jesteś najstarsza. — Sofia złożyła dłonie na kolanie. — Masz swoje obowiązki wobec rodziny. Potomstwo, pozycja—

— To *moje* życie — syknęła Lydia.

— *Nasze* życie — Sofia poprawiła ją spokojnie — nigdy nie było tylko nasze.

Dłoń jej uniosła się i dotknęła srebrnych włosów przy skroni — gest stary i zaraz cofnięty.

Lydia zobaczyła to. Nie po raz pierwszy.

— A Augustin? — rzuciła, zanim cokolwiek zdążyło zmienić temperaturę jej głosu. — Czemu jemu nie mówisz o potomstwie. O szukaniu żony.

Augustin nie spojrzał na Lydię.

— Mówiła mi tak ze *sto razy* już w ostatnim miesiącu — powiedział spokojnie, nie podnosząc wzroku od tabletu.

Sofia wyprostowała się. Coś w jej twarzy było stare i zużyte — noszone za długo, żeby jeszcze reagowało na dotyk.

— Wy oboje — zaczęła, głos niższy — nie bierzecie tego na poważnie. — Wzrok przeszedł między nimi. — Ja zapłaciłam swoją cenę. Za każde z was.

Nikt nie odpowiedział.

Drewno strzelało w kominku.

— Ojciec nie żyje. A wy się bawicie.

Cisza opadła na salon.

Sofia westchnęła — długo, cicho — i spojrzała na zegarek na nadgarstku. Złoty, cieniutki, zbyt elegancki na tę porę wieczoru.

— Nieważne. — Wstała z gracją, która wyglądała na naturalną, a była ćwiczona przez setki lat. — Mój serial zaraz się zaczyna.

Obcasy ciche, perfumy zostały po niej — ciężkie, kwiatowe, z nutą czegoś gorzkiego pod spodem.

Dragana patrzyła za nią przez chwilę.

— Tęskni za Gabrielem.

Lydia weszła głębiej do salonu i usiadła na kanapie. Skrzyżowała nogi, dłonie złożyła na kolanie. Satyna jej spódnicy leżała idealnie, szampan w świetle kominku.

— Wybaczenie — powiedziała sucho — że nie pali mi się do porodu, który może mnie zabić.

Dragana poruszyła się lekko na fotelu. Czerwone oczy przeniosły się na Lydię z wyrazem kogoś głęboko urażonego w punkcie zawodowej dumy.

— Wypraszam sobie — powiedziała. — Byłam przy każdym z was. — Krótka pauza, znacząca. — I co.

Augustin odwrócił stronę na tablecie.

— I prawie bym cię zabił przy porodzie — mruknął, nie podnosząc wzroku. — Słyszałem tę historię. Moje pierwsze prawie udane zabójstwo. — Spojrzał ukradkiem na Dragana. — Prawie.

Uśmiech krótki, ale zauważalny.

Dragana zmierzyła go wzrokiem.

— Szczegół.

Kącik ust Augustina uniósł się.

— Czy to nie zabawne — zaczął nisko, bez wyrazu — że chcąc stworzyć nowe życie, jesteśmy najbliżej śmierci?

Lydia zmarszczyła brwi.

Dragana otworzyła usta.

Zamknęła je.

Wyduła wargi z miną kogoś, kto postanowił że nie warto.

— Panicz jak zawsze ponury — powiedziała w końcu.

Augustin zaśmiał się lekko.

— Jestem realistą.

— Dzięki za motywację — Lydia pokręciła głową.

Uśmiechnął się do niej.

— Do usług.

— Oczywiście. — Lydia spojrzała na Augustina. — Nie ciekawią cię te plotki?

Brat patrzył na nią.

Cisza między nimi miała inne gęstość niż reszta pokoju — znali się zbyt dobrze na neutralne milczenie.

— Nie wiesz — zaczął. Głos spokojny, równy, jakby dobierał słowa nie dlatego, że szuka właściwych, ale dlatego, że każde inne byłoby stratą. — W naszym przypadku, ciekawość—

Zawiesił wzrok na niej. Potem gdzieś za nią — w ścianę, w ogień, w miejsce, którego w pokoju nie było.

— jest niebezpieczna.

Lydia słuchała.

Chwilę nie odpowiedziała. Zbyt szybka odpowiedź to błąd, a ona błędów nie lubiła — zwłaszcza jeśli chodziło o brata.

— Czemu tak uważasz? — Położyła dłoń na piersi, powoli, bez gestu. — Nie chciałbyś poczuć czegoś więcej niż... pustkę?

Coś w nim drgnęło.

Trwało to ułamek sekundy — może mniej — ale Lydia była zbyt stara i zbyt blisko, żeby tego nie widzieć. Złote oczy błysnęły na czerwono. Nie gniewem. Czymś, co wyglądało jak ból dotknięty zbyt precyzyjnie, w zbyt czułym miejscu.

Zamknął oczy.

Otworzył.

Znów złote. Spokojne.

— Ciekawość — powiedział — czyni nas irracjonalnymi.

Dragana i Lydia spojrzały na siebie.

Szybko. Bez słów. Wymiana, która nie potrzebuje języka, bo ma swój własny — zbudowany z lat wspólnego obserwowania tego samego człowieka.

Augustin wrócił do tabletu.

Ekran rzucał zimne, blade światło na jego twarz. Rysy spokojne, szczeka luźna, palec przesunął się po tekście leniwie. Wszystko na swoim miejscu.

Lydia siedziała.

Dłoń powędrowała do klatki piersiowej — odruchowo. Pod satynową tkaniną jej serce nie biło od bardzo dawna. Ale coś w tym miejscu reagowało inaczej na jego słowa niż na wszystko inne.

Ciekawość czyni nas irracjonalnymi.

Spojrzała na niego.

Na linię szczęki, złote włosy opadające lekko za ramiona, postawę absolutnego opanowania, której nigdy do końca nie nauczyła się czytać.

Prawie nigdy.

Prawie.



Penthouse zajmował całe najwyższe piętro wieżowca, wysoko nad Stellis, nad hałasem i zapachem miasta, które nigdy do końca nie zasypiało.

Portal zamknął się z cichym syknięciem za jej plecami — i od razu powietrze inne. Chłodniejsze, suche, z zapachem białej magnolii ze stolika przy wejściu — kwiaty otwarte, zbyt słodkie i zbyt doskonałe. Skóra mebli. Cisza bez ludzkiego oddechu.

— W końcu spokój — mruknęła cicho.

— O nieee!!

Zamknęła oczy na sekundę.

— Nie może być!! Mój ukochany!!

Krzyk dochodził z salonu — wysoki, dramatyczny, z nutą rozpacz, którą Lydia rozpoznała od razu.

Sylvia.

Młodsza siostra leżała rozwalona na sofie, bosa stopy na oparciu kanapy, tablet trzymany oburącz nad twarzą, ciemne włosy rozsypane wokół głowy. Przy niej pachniało jej kremem, owocowym i niedbałym, zupełnie nie na miejscu w tym penthousie, tak samo jak ona.

Lydia zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głów. Dres. Koszulka. Brak obuwia. Pokręciła głową z niesmakiem.

— Kiedy ostatni raz wyszłaś z mojego mieszkania? — odezwała się głosem płaskim jak tafla wody.

Sylvia opuściła tablet kilka centymetrów i wyjrzała znad ekranu ze wzrokiem kogoś, kto właśnie zorientował się, że ma świadka.

— A bo ja wiem... — Pomasowała podbródek. — Czy to ważne? — mruknęła po chwili. — Ważne jest, że przegrałam na bannerze. Mój ukochany. — Westchnęła z dramatyzmem kogoś ogłaszającego żalobę.

Lydia przycisnęła dwa palce do skroni, podeszła do fotela przy oknie i usiadła z nogą założoną na nogę.

— Nie patrz się tak — syknęła Sylvia, nie podnosząc wzroku znad tabletu. — Nie moja wina, że Augustin dał mi szlaban. — Odrzuciła głowę na poduszkę. — Ostatnie lata robię za jego dostawcę serników. Cały jebany świat zwiedziłam w te i we wte.

— Bo przegrałaś z hybrydami w pełnię, kurwa — powiedziała Lydia. — A to wyczyn. Brawo.

Sylvia przewróciła oczami z taką intensywnością, że niemal było to słyszalne.

— Nawet *matka* już się ze mnie śmieje — mruknęła. — Przy okazji nauczyła mnie robić sernik.

— Brawo. Awansowałaś na cukiernika.

— Zamknij się.

Sylvia odwróciła głowę w bok, nadąsana, ale kącik ust jej drgał. Po chwili przeniosła wzrok z powrotem na siostrę, złote oczy lekko zmrużone.

— Myślisz, że mu przejdzie? — zapytała, już bez jadu.

Lydia oparła łokieć o poręcz i podparła podbródek na dłoni. Za oknem Stellis pulsowało swoim rytmem — światła mijały się nawzajem, klub wypływał muzykę w nocne powietrze, na dachu ktoś palił papierosa, mały pomarańczowy punkt zawieszony w ciemności.

— Wiesz, jaki potrafi być dramatyczny — powiedziała w końcu, z lekkim uśmiechem, który nie docierał do oczu. — Ma to po ojcu.

Sylvia prychnęła — spontanicznie, szczerze — i wciągnęła kolana pod brodę.

— Jak cała nasza rodzina — powiedziała, bez jadu. Uśmiechała się teraz naprawdę, mała i ciepła rzecz na twarzy, która umiała być bardzo zimna. Przez chwilę siedziały w tej ciszy. — Myślisz, że Augustin kiedyś kogoś znajdzie? W końcu jest głową rodziny.

— Nie wiem — odezwała się Lydia po chwili — czy ktokolwiek by z nim wytrzymał.

Sylvia wybuchnęła śmiechem — głośniejszym, z ostrym dźwiękiem bardziej chichotu nad cudzą klęską niż zwykłego rozbawienia.

— Co prawda to prawda. — Podrapała się po policzku. — No ale jak nie Augustin, to pewno ty będziesz musiała kogoś znaleźć. Dla dobra rodu i takie tam. A potem co gorsza, *ja*.

Lydia westchnęła — nie głośno, nigdy głośno — z grymasem, który powiedział wszystko.

— Matka mi o tym *regularnie* przypomina — powiedziała sucho.
— Wnuki wyprodukować.

Obie spojrzały na siebie.

Czystokrwieści byli jedynymi wampirami zdolnymi do potomstwa — Sofia mówiła o tym tonem obowiązku. Ryzyko śmierci było zapisane drobnym drukiem.

— Nie śpieszy mi się — powiedziała Lydia. Spokojnie, jak ktoś kto ma ten temat od dawna zamknięty w szufladzie.

Sylvia wypuściła powietrze.

— Mnie też nie — przyznała ciszej. — Widmo bycia śmiertelną na czas rytuału średnio mi się podoba.

Lydia spojrzała na nią.

— Przy twoim szczęściu byłby to *pogrzeb*.

— Bardzo kurwa zabawne — mruknęła Sylvia.

— Stwierdzam fakt. — Lydia odwróciła wzrok.

Sięgnęła po telefon z kieszeni marynarki i odblokowała ekran. Coś w kąciку ust uniosło się lekko.

— Jutro będę zajęta. — Obróciła ekran ku Sylvii.

Sylvia rzuciła okiem.

— Nuuda — powiedziała bez chwili namysłu i wróciła do tabletu.

— Ale jak będzie jakaś jatka, to wpadnę. Chętnie bym zabiła jakiegoś wilka lub dwa.

— Ty lepiej zajmij się swoimi fikcyjnymi chłoptasiami.



Sypialnia była jak reszta jej życia.

Beże i brązy w odcieniach starych budynków, które przetrwały więcej niż jedną epokę. Nic zbędnego na komodzie. Żadnych zdjęć na ścianach. Świeczka płonąca na parapecie — waniliowa, jedyna rzecz bez funkcji — i cisza, którą ktoś starannie zbudował.

Lydia zamknęła za sobą drzwi.

Zdjęła marynarkę — tkanina ciężka, jeszcze ciepła od jej ciała — i powiesiła na ramieniu szafy.

Podeszła do lustra. Cała ściana szafy pokryta szkłem, zimne i precyzyjne.

Patrzyła.

Złote oczy, platynowy blond, blada cera. Kącik ust uniósł się przez sekundę, potem opadł. Zaczęła odpinać guziki bluzki — od góry, powoli, palce znały kolejność.

Bransoletka na tacce przy łóżku — chłodna, metal brzęknął cicho o ceramikę. Włosy rozwiązane, platynowe pasmo zsunęło się na ramię i zostało. Z szuflady jedwabna piżama, różowa, sięgająca kolan — jedwab ślizgał się przez palce bez oporu.

Wślizgnęła się pod koldrę. Pościel chłodna po tej stronie łóżka, którą zawsze zajmowała sama.

Z salonu dochodziły odgłosy — Sylvia, oczywiście. Jakiś komentarz rzucony do ekranu, coś, co brzmiało jak chichotliwy tryumf albo głośna przegrana, trudno ocenić. Lydia знаła ten rytm.

Sięgnęła po telefon.

Przewijała.

Tysiące like'ów pod czyimiś zdjęciami. Komentarze w różnych językach. Czyjeś reels, czyjeś relacje, jakiś trend powtarzający się przez sześć sekund w kółko. Twarze roześmiane, zmęczone, szczere, wyreżyserowane — i każda coś chciała, coś mówiła, coś czuła na tyle mocno, żeby to nagrać.

Palec przesuwiał się sam.

Gdzieś w połowie ósmej minuty zorientowała się, że nie wie już, co ogląda.

Przewinęła wstecz.

Kobieta — młoda, z szorstkim śmiechem i psem wchodzącym w kadr bez zaproszenia — mówiła o swoim poranku. Rozlane mleko. Spóźniony tramwaj. Śmiech beztroski, głośny, bez powodu.

Lydia zatrzymała filmik.

Twarz kobiety zastygła w połowie gestu — usta rozchylone, oczy zmrużone, cała ta biologiczna kaskada czegoś, co ją rozsadzało od środka. Kilka sekund. Palec nieruchomy.

Odłożyła telefon ekranem w dół. Powoli.

Oparła głowę na poduszce. Sufit kremowy, gładki. W salonie Sylvia powiedziała coś do siebie — ciepły odgłos przez ścianę, żywy i niestaranny jak wszystko u Sylvii. Wanilia ze świeczki dochodziła ledwo.

Kobieta z filmiku śmiała się z rozlanego mleka. Z tramwaju. Jakby to były rzeczy, z których można się śmiać.

Ona nie mogła.

Dłoń Lydii leżała płasko na kołdrze. Jedwab pod palcami gładki i zimny.

Rozdział 4

Szklana fasada, nowoczesna, zimna, logotyp stacji wyryty w stalowych literach nad wejściem. Tim zatrzymał się. Powietrze było ostre, wilgotne, z zapachem spalin i mokrego betonu — pod nim cicho to drugie, co zawsze: masa oddechów, ciał, hałas który nigdy nie milknie do końca.

Siedem pięter. Cztery kamery widoczne z zewnątrz. Dwa wejścia — główne i boczne, od parkingu, z kodowanym zamkiem i ochroniarzem, który udawał, że czyta gazetę.

Wszedł przez główne.

Lobby było już żywe, mimo że zegar nad recepcją pokazywał za osiem ósma. Pracownicy przecinali przestrzeń z kawą w dłoniach i przepustkami na smyczy — szybko, z energią ludzi, którzy w telewizji nauczyli się, że każde pięć minut to już spóźnienie. Jeden minął Tima na tyle blisko, że bursztynowe oczy zdążyły go zarejestrować i odłożyć.

Podszedł do recepcji.

Recepcjonistka podniosła wzrok — i zawahała się o sekundę za długo. Wzrok przeskoczył po barkach, po wysokości, wrócił na twarz i dopiero wtedy coś w niej zebrało się z powrotem.

— Ach, pan jest...?

Tim wyjął telefon, odblokował jednym ruchem kciuka i obrócił ekranem do niej.

— Zostałem wynajęty do ochrony jakiejś influencerki. Nie podano mi szczegółów.

Recepcjonistka klasnęła rękami.

— Tak, tak. Chwileczkę. — Palce pobiegły po klawiaturze, kliknięcia, przesunięcie myszki, jeszcze jedno kliknięcie. Wstała i podała mu plastikową przepustkę na smyczy: GOŚĆ / OCHRONA. — Już panu pokażę.

Tim kiwnął głową i ruszył za nią.

Drzwi po lewej — redakcja, przez szybę widoczne biurka i monitor z napisem NA ŻYWO — 09:45.

Drzwi po prawej — zamknięte, brak tabliczki, z korytarza szedł zapach kawy i czegoś smażonego. Kłapa techniczna w podłodze, przykryta dywanem leżącym o centymetr krzywo.

Kilka twarzy po drodze znał z ekranu. Prezenterka pogody, wysoki facet od programu kulinarnego, ktoś z wieczornych wiadomości. Wszyscy wyglądali inaczej bez studyjnego światła — bardziej zmęczeni, bardziej ludzcy.

— To na specjalne życzenie — mówiła recepcjonistka, trzymając tempo. — Pani Aurélie poprosiła o kogoś z zewnątrz. Dyskretnego.

Tim słuchał.

— Ma dziś cały dzień nagrań i potem wyjście na żywo.

Zatrzymała się przed drzwiami z numerem 112 i otworzyła je.

Pierwsze, co go uderzyło, to perfumy — za nim zamknęły się drzwi i powietrze dosłownie zmieniło konsystencję. Kilka marek naraz, kwiatowe i słodkie, z drzewnym podkładem, za dużo wszystkiego razem. Grymas pojawił się na jego twarzy zanim zdążył go zatrzymać.

Ale pod tym — coś innego. Czyste w sposób który nie miał nic wspólnego z mydłem ani kryształkami w perfumach — głębsze. Tim ściągnął lekko brwi.

Instynkt w nim poruszył się nieznacznie.

Pokój był jasny — rzędy świateł studyjnych rozstawione wokół lustra, ostre i bezlitosne. Przy nim siedziała kobieta, makijażystka pochylona przy niej z pędzlem.

Tim stanął w drzwiach i zarejestrował.

Wyższa niż spodziewał się po ekranie. Kremowe krótkie spodenki, eleganckie, i dopasowana kamizelka w tym samym kolorze — prosta, droga, bez jednego zbędnego szczegółu. Pastelowe włosy w odcieniu różu, upięte luźno, kilka kosmyków przy szyi. Twarz bez wyrazu podczas gdy makijażystka pracowała przy niej pędzlem.

Aurélie Reine.

— Oto ochroniarz — powiedziała recepcjonistka.

— Tim — odparł krótko.

Kobieta przy lustrze odwróciła się.

Wstała.

Wzrok przesunął się po nim — od barków w dół, z powrotem na twarz — i zatrzymał się na jego oczach. Spokojnie. Jakby właśnie zdecydowała coś, o czym on jeszcze nie wiedział.

Uśmiechnęła się — naturalnie, bez pośpiechu, jak ktoś kto nie potrzebuje sekundy żeby zdecydować jak chce wyglądać.

— Aurélie.

Recepcjonistka wyszła. Drzwi zamknęły się cicho. Makijażystka spojrzała na zegarek, odłożyła pędzel i wyszła za nią.

Zostali sami.

Światła studyjne brzęczały cicho. Perfumy — za dużo, i pod nimi coś czego nie umiał wskazać. Tim skrzyżował ramiona i oparł się o framugę.

Wilk w nim poruszył się nieznacznie.

Drażniące.

— Jakieś szczegóły?

Aurélie sięgnęła po telefon z kieszeni płaszcza zawieszonego na oparciu krzesła — kremowego, rzuconego niedbale.

— Cały dzień sama, potem spotkanie na żywo. — Wzruszyła ramieniem. — Wolę być bezpieczna. — Palec powędrował do ust. — Polecono mi Łowców.

— Człowiek? — powiedział Tim.

Spojrzała.

— Tak? A kto inny?

Pokręcił głową.

— Czyli mam po prostu cię ochraniać.

— Właśnie tak. — Uśmiechnęła się szerzej.

Tim przez chwilę milczał.

Obserwował jej twarz. Brązowe oczy, spokojne, kości policzkowe wysokie, usta zamknięte z tym uśmiechem który nic nie zdradzał.

Odchrząknął.

— Mam jedną prośbę.

Spojrzała.

— Chcę — wymamrotał odrobinę ciszej — selfie.

Aurélie zaśmiała się — krótko, ciepło, szczerze, jakby to był żart którego się nie spodziewała.

— Oczywiście.

Wyciągnęła rękę w jego stronę — otwarty gest, pewny, bez pytania. Zrozumiał. Odblokował telefon i podał jej go.

Podeszła.

Różowe sneakersy na koturnie — i mimo to sięgała mu do ramienia, czubek głowy przy jego barku.

Stała obok niego, blisko, ramieniem przy jego łokciu. Tim poczuł to od razu — zapach wyraźniejszy niż powinien być. Mięsień przy szczęcie napięty przez sekundę.

Irytujące.

Ona już miała telefon uniesiony.

Pstryknęła.

Na ekranie — ona z uśmiechem, słodkim i szerszym niż nosiła na co dzień, i on obok z tym samym wyrazem twarzy który miał przy wypełnianiu dokumentów.

— Zazwyczaj ludzie na mój widok nie robią takich min — rzuciła z przekąsem, podając mu telefon.

Tim wziął go.

Poczuł jak uszy mu się zrobiły ciepłe — głupie ciepło które szło w górę bez pytania.

— To nie... — Urwał. — Nieważne — mruknął i schował telefon do kieszeni.

Aurélie poprawiła włosy jednym ruchem — luźny gest, pewny — i ruszyła w stronę wyjścia.

Tim odprowadził ją wzrokiem.

Kremowe spodenki, koturny, nogi długie jak na jej wzrost. Wzrok opadł na sekundę niżej, Tim przeniósł go natychmiast — na drzwi po lewej, na faceta z kawą za rogiem. Trzymał go tam przez kilka kroków.

Wrócił na nią.

Tym razem wyżej — plecy, głowa, sposób w jaki szła. Ramiona luźne, krok równy, bez sprawdzania czy za nią idzie.

Ruszył za nią.

Korytarz był węższy niż wyglądał z recepcji — dla niego zdecydowanie za ciasny, ramię przy prawej ścianie, barki prawie przy framudze przy każdych drzwiach. Zapach dobiegał z przodu, z odległości dwóch kroków, Tim skupił się na kamerze na suficie mrugającej czerwoną diodą.

Aurélie szła bez wahania, jakby знаła ten korytarz od lat.

Weszli na plan.

Duże pomieszczenie, kanapowy narożnik w kolorze ciepłego piasku, stolik z kawą i owocami ułożonymi zbyt starannie, żeby

ktokolwiek je tknął. Dwójka prezenterów już siedziała — kobieta z krótko przystrzyżonymi ciemnymi włosami, tablet na kolanach, i mężczyzna w marynarce w kratkę rozmawiający przez słuchawkę.

Tim odsunął się pod ścianę. Płyta gipsowa za plecami — zimna i lekko wilgotna od sprzętu — przyjęła jego ciężar bez dźwięku. Skrzyżował ramiona. Ciężar równomierny na obu stopach.

Reżyser coś krzyknął, ktoś sprawdził poziomy dźwięku, makijażystka wypadła znikąd i musnęła twarz Aurélie pędzlem. Ta siedziała z tym samym spokojem co przez cały ranek — ani drgnęła. Makijażystka odskoczyła, zapaliło się czerwone światło i Uta się uśmiechnęła.

Tim sięgnął po telefon.

Zrobił zdjęcie szybko, bez dźwięku, pod kątem, żeby nie wyglądało jak kadr ze studia — i kiedy twarz Aurélie wyostrzyła się na ekranie, z tym uśmiechem skierowanym w kamerę i różowymi włosami pod studyjnym światłem, przez chwilę patrzył.

Schował telefon do kieszeni.

Viktor i Adrian nie uwierzą.

Wywiad toczył się tak jak się toczył — pytania lekkie, odpowiedzi lżejsze. Klem nachylał się do mikrofonu z wyćwiczonym zainteresowaniem, Uta kiwała głową w odpowiednich

momentach. Aurélie mówiła o treściach, o estetyce, o autentyczności. Tim przestał słuchać po trzeciej minucie.

Potem Uta zapytała o rodzinę.

— Opowiedz nam o sobie — powiedziała ciepło. — Skąd jesteś, co cię ukształtowało?

Aurélie uśmiechnęła się. Ten sam uśmiech. Naturalny, ciepły, bezpieczny.

— Moja rodzina... — zaczęła. — Jestem najstarszą córką, mam dwójkę młodszego rodzeństwa. Ojciec odszedł wcześniej, więc mój brat jest teraz tym, który nosi ten ciężar.

Klem westchnął, pochylił się.

— Jakie to musiało być trudne dla was wszystkich.

— Było — powiedziała. — Ale razem jesteśmy silni.

Tim zmrużył oczy.

Był wystarczająco blisko — dwanaście, piętnaście metrów, kamera między nimi, ale bez przeszkód — żeby widzieć twarz wyraźnie. I przez ułamek sekundy — zanim wróciło ciepło, zanim usta ułożyły się z powrotem w ten łuk — w brązowych oczach nie było nic.

Zupełnie nic.

Lampa zgaszona i zapalona zanim ktokolwiek zdążył zobaczyć ciemność.

Coś na karku Tima zareagowało. Ten stary instynkt który budził się przed informacją.

Stał z ramionami skrzyżowanymi i obserwował resztę wywiadu inaczej niż poprzednio — nie rozrysowując wyjść i zagrożeń, ale spokojniej. Z uwagą, której używał, kiedy coś nie dawało mu spokoju.

Gdy kamery zgasły, poszedł za nią blisko.

Korytarz powrotny, pokój z lustrem, pracownik już przy niej i odpinał mikrofon od klapy płaszcza, który zdążyła z powrotem zarzucić na ramiona.

I znowu ten zapach spod perfum — wyraźniejszy niż rano. Lekkie, kwiatowe perfumy na wierzchu, a pod spodem to coś nieprzynależące do żadnego flakonu. Tim odetchnął przez nos powoli. Szczeka ściągnęła się o milimetr.

Pachniała jak człowiek.

Wilk poruszył się w nim.

Dziwne.

— Poszło dobrze. — Odwróciła się do niego z uśmiechem jaśniejszym niż ten z planu. — Jeszcze tylko cały dzień.

— Za to mi płacisz, księżniczko.

Zaśmiała się — krótko, szczerze.

— Ledwo się poznaliśmy i już awansowałam?

— Jak na taką gwiazdę, zdziwiło mnie, że nie masz menadżera.

Spojrzała na niego. Palec powędrował do ust — gest bardziej kontrolowany niż wyglądał.

— Jestem kobietą pracującą. Sama sobie jestem menadżerem.

— Oczywiście — odparł.

Wstała i podeszła do niego — nie śpiesząc się, z tym samym krokiem co przez cały ranek.

Stanęła tuż przed nim.

Musiała unieść wzrok, bo był o głowę wyższy od niej — i to na niej nie zrobiło żadnego wrażenia. Absolutnie żadnego. Większość ludzi reaguje na tę wysokość czymś — cofnięciem, napięciem, tym nieświadomym krokiem w bok. Ona tylko patrzyła do góry, spokojnie, jakby odległość między nimi była dokładnie taka, jaka powinna być.

Szczęka Tima lekko się ściągnęła.

— Za mną, Panie Ochroniarzu.

I wyszła. Płaszcz za nią.

Tim patrzył przez sekundę na drzwi.

Ten zapach został — drażniący. A jednocześnie jak coś czego nigdy wcześniej nie czuł.

Ruszył za nią.



Sesja zdjęciowa zajęła popołudnie.

Tim stał przy ścianie z ramionami skrzyżowanymi, ciężar równomiernie rozłożony na obu stopach. Podłoga wibrował lekko od reflektorów. Powietrze gęste od ciepła lamp.

Te perfumy znowu — ale przez cztery godziny Tim zdążył nauczyć się przez nie oddychać, i teraz łatwiej było sięgnąć do tego co pod spodem. Zimne i czyste, jak powietrze przed świtem, zanim miasto zdąży je zabrudzić.

Obserwował.

Nie aparat, nie kadr — ją.

Jak przestawia się między ujęciami, jak wraca do pozy, kiedy ktoś tknie jej włosów pędzlem. Jak między błyskiem lampy a następnym coś w niej się wycisza — i wraca, precyzyjnie, na sekundę przed kolejnym kliknięciem. Tim przestawił ciężar na lewą nogę. Ramiona luźniejsze niż były godzinę temu, nie z braku uwagi — z jej nadmiaru skierowanego w jedno miejsce.

Kilka razy spojrzała w jego stronę.

Pierwszy raz tylko oczami — szybko, jakby sprawdzała, czy nadal stoi w tym samym miejscu. Drugi raz dłużej, z tym przechyleniem głowy. Trzeci raz:

— A co to za mina, Panie Ochroniarzu? Coś nie tak z moim zapachem?

Asystent przy reflektorze spojrział na Tima.

Tim nie zmienił wyrazu twarzy.

— Nie przywykłem — odparł — do takiej ilości perfum.

Fotograf prychnął. Aurélie zaśmiała się — i zdjęcie, które fotograf złapał w tej samej sekundzie, musiało być doskonałe, bo mruknął coś z zadowoleniem i zaczął przewijać na ekranie.



Restauracja stała przy szerokiej alei w centrum Stellis, gdzie bruk był starszy od większości budynków wokół. Światła lokali odbijały się w mokrym kamieniu chodnika. Tim widział ją kiedyś z zewnątrz. Nigdy nie miał powodu wchodzić — za cicha, za droga, za dużo świec na stolikach.

Teraz siedział przy oknie z kartą, którą przejrzał raz i odłożył.

Muzyka z głębi sali, smyczkowa, nakrywająca rozmowy jak nakrywa się stół. Przy sąsiednich stolikach głosy miękkie. Zapach masła, wina i czegoś pieczonego, ciepły i ciężki.

— No, no — rzucił, kiedy usiedli. — Jednak księżniczka z ciebie.

Aurélie machnęła ręką.

— Wytrzymałeś ze mną cały dzień.

— Za to mi płacisz.

Spojrzała na niego z tym zamyśleniem, które Tim zaczął już rozpoznawać — głowa lekko przechylona, usta spokojne, oczy pracujące.

Zamówiła bez otwierania karty.

Tim to zauważył.

Kelner zebrał zamówienie i zniknął. Na stoliku biały obrus, dwie świece, tyle przestrzeni, ile przy takim stoliku można mieć — czyli za mało.

— Muszę przyznać — zaczęła. Łokieć na obrusie, ciało lekko ku niemu. — Masz piękne oczy. Dość nietypowy kolor.

Świeca między nimi rzucała złoto na jej twarz. Tim nie odsunął się.

— Można tak powiedzieć. — Pochylił się odrobinę ku niej. — Choć zazwyczaj inni nie reagują tak entuzjastycznie.

Brązowe oczy go nie puściły.

— No tak. — Uśmiech pojawił się powoli, z tym kąciakiem ust który wiedział co robi. — Masz taką prezencję. Taki bad boy, trochę.

Tim prychnął cicho — do siebie, do stolika, do świecy.

— Zdecydowanie jestem.

Żadne z nich nie odwróciło wzroku.

— Mam propozycję — zaczęła. Złożyła ręce na obrusie. — Co sądzisz o tym, żebyś był moim ochroniarzem na pełen etat?

Tim spojrzał na nią.

Nie odpowiedział od razu — bo to był dobry nawyk oraz bo ta kobieta od rana dostarczała mu wystarczająco dużo rzeczy do przemyślenia bez dokładania kolejnych.

— Dlaczego chciałabyś mieć *Łowcę* za ochroniarza?

Przekrzywiła głowę.

— A czemu nie? — odparła. — Przyjaciółka mi was poleciła. — Wzrok spokojny, bez pośpiechu. — I spełniłeś moje oczekiwania.

Brazowe oczy siedziały na nim spokojnie i czekały.

— Łowcy nie mają najlepszej renomy — powiedział Tim.

Kelner postawił przed nimi talerze. Zapach masła i cynamonu, ciepłe ciasto, karmel pod spodem. Aurélie wzięła widelec i

zaczęła jeść z tym samym spokojem, z którym robiła wszystko inne.

— Ufam przyjaciółce — powiedziała. — Nie znam się na waszych sprawach.

— Człowiek — dodał cicho.

Uniosła wzrok.

Widelec zatrzymał się w połowie drogi.

Przez sekundę jej wzrok przesunął się niżej na jego szyję. Wrócił do jego oczu zanim minęła sekunda.

— Słyszałaś coś o Nocnych Istotach?

— To jakiś film?

— Tak. *Film*.

Odłożyła widelec. Uśmiechnęła się — powoli, jak ktoś dochodzący do wniosku, który postanawia zatrzymać dla siebie.

— To jak, Panie Ochroniarzu. — Głos spokojny. — Mamy układ?

Świeca rzucała złote refleksy w brązowych oczach. Tim oparł przedramię o brzeg stolika — kolana przy nodze stołu, barki za szerokie na tę przestrzeń między krzesłem a sąsiednim stolikiem. Drewno chłodne pod łokciem, ciepło świecy przy dłoni.

Ten zapach znowu — gdy przechyliła się nieznacznie ku niemu, i tym razem Tim nie musiał szukać: wyszedł sam, wyraźny i spokojny. Chłodny i czysty pod tymi kwiatami, bez śladu wysiłku, bez śladu dnia który mieli za sobą. Nos nieznacznie się poruszył. Odwrócił wzrok ku oknu i mokremu brukowi za szybą, zanim wrócił na nią.

Irytujące.

— Tak. — Ciszej niż zamierzał. — Mamy układ.

— Świetnie.

Wróciła do szarlotki.

Ale te brązowe oczy co jakiś czas wracały do niego — spokojne, zaciekawione, z czymś głębiej, czego Tim jeszcze nie umiał odczytać. Siedział z tym przez resztę kolacji jak z kamykiem pod skórą — zbyt małym, żeby bolało, zbyt konkretnym, żeby zapomnieć.

Rozdział 5

Korytarz posiadłości był cichy o tej porze.

Sofia szła bosą po chłodnym kamieniu — rozpuszczone włosy, legginsy, tunikowa sukienka w kolorze kości słoniowej. Nikt jej nie widział. Nikt nie musiał.

Minęła okno wychodzące na ogród.

Zatrzymała się.

Żywopłoty stały nieruchomo w wieczornym powietrzu — rzędy białych i różowych, głęboka purpura przy pergoli, pnące przy murze. Bogactwo zapachu, który wchodził w kamień przez lata.

Ani jednej czerwonej.

Zmarszczyła brwi.

Gabriel kochał czerwone.

Burgundowe szczególnie — te, które zakwitały późno i trzymały się długo. Mawiał, że wszystkie inne róże są dekoracją. Te są charakterem.

Po jego śmierci Augustin kazał je usunąć.

Sofia pokręciła głową i ruszyła dalej.

Sypialnia była ciemna, gdy weszła. Nie zapaliła światła — знаła każdy metr tej podłogi, każdy kąt mebli, każde echo w tym pokoju. Zamknęła drzwi.

Zapach trafił ją zaraz.

Róże. Ciepłe, głębokie, z tym słodkim spodem który zostawał na języku. Uniosła głowę.

Na szafce nocnej stał bukiet.

Burgundowe.

Ciemne przy krawędziach, prawie czarne — te które Gabriel kochał najbardziej. Ktoś przyniósł je dziś, lodygi wciąż mokre, kilka płatków na białym drewnie szafki.

Stała przez chwilę i patrzyła na nie.

Potem wzrok przesunął się na ścianę nad łóżkiem.

Portret wisiał tam od zawsze — duży, w złotej ramie, ze światłem które malarz złapał w taki sposób, że wyglądali jak coś stałego. Ona z uniesioną głową, Gabriel tuż za nią, dłoń przy jej ramieniu. Lydia po lewej, Sylvia po prawej — Sylvia z tymi brązowymi włosami, które miała po ojcu, i z tym wyrazem twarzy który zawsze balansował na krawędzi nieposłuszeństwa. Augustin między dziećmi, jeszcze bez tej ciężkości którą nabrał z latami.

Wyglądali naprawdę pięknie jako rodzina.

Sofia usiadła na łóżku.

Powoli, jakby ciężar siadał razem z nią.

A potem Augustin zabił Gabriela.

Myśl była stara, dobrze wytarta — noszona tak długo, że wygładziła się w coś tępego. Nie znaczy, że bezbolesne.

Każdego dnia tęskniła.

Położyła się. Sufit był jasny w blasku księżyca wpadającego przez okno.

— Czy zrobiliśmy coś nie tak, ukochany?

Cisza jej odpowiedziała.

Bukiet pachniał.



Przekroczyła próg.

Drzwi zamknęły się za nią miękko. Magnolia ze stolika przy wejściu — zapach słodki i chłodny, pierwszy co ją przywitał. Posadzka twarda pod obcasami, ciszej niż korytarz, inne echo. Salon za rogiem: panoramiczne okna, miasto za nimi odległe i nieproszone, powietrze suche i chłodne jak zawsze.

— Kurwa — powiedziała cicho.

— A tu jesteś.

Sylvia wyszła z kuchni w białych skarpetach, szortach i oversizowej czarnej bluzie z mangową grafiką na piersi. Za nią Marika — czerwone włosy, czarna sukienka, ramiona nagie.

Sylvia oparła się o framugę z wyrazem kogoś, kto czeka na dobrą historię.

— Jak tam?

Minęła siostrę, rzuciła torebkę na sofę.

— Ciekawie.

Marika podeszła bez słowa i uniosła rękę — musnęła palcami powietrze tuż przed nią, jakby przecinała niewidoczną linię. Ciężar zniknął. Oddychało się lżej.

— Mam nadzieję, że bez problemów — powiedziała Marika.

Nie odpowiedziała.

Sunęła korytarzem. Palce przy skroni — ruch automatyczny — i pociągnęła. Pastelowe pasmo opadło na blat toaletki bez dźwięku.

Usiadła przed lustrem.

Złote oczy. Miękki łuk ust, który nakładała od rana tak sprawnie jak podkład. Znajoma twarz i obca jednocześnie.

Patrzyła przez sekundę dłużej niż było potrzeba.

Wstała.

Z szuflady wyciągnęła coś wygodniejszego i ubrała się bez zastanowienia.

Zacząła chodzić po pokoju. Boso, posadzka chłodna pod stopami — zimna linia przy oknie, cieplejsza bliżej ściany. Tam i z powrotem.

Pięć kroków, skręt.

Cztery kroki, skręt.

Plan był prosty.

Tylko że nie wzięła pod uwagę jednego — i to jedno albo zepsuło wszystko, albo zmieniło wszystko.

Palce zacisnęły się na nadgarstku.

Wyszła.

Sylvia i Marika siedziały w salonie — Sylvia na sofie z nogami podciągniętymi pod siebie, Marika na fotelu bokiem, obie mówiły cicho o pigmentach we krwi i rytmie serca przy tkaniu zakłęć.

Stała w progu.

— Marika.

Marika uniosła wzrok — uważny, natychmiastowy.

— Będiesz musiała częściej używać to zaklęcie na mnie. Czuję, że działa.

Sylvia powoli uniosła głowę znad tabletu.

— Częściej?

Marika wstała.

Zacząła chodzić — dwa kroki w lewo, zawróciła, dwa w prawo, palce stukające o udo. Brwi ściągnięte, wzrok na podłodze.

— Podpytam Draganę jak wzmocnić zaklęcie. — Urwała. Odwróciła się do Sylvii, oczy błyszczące. — Dla mojej Pani wszystko.

Sylvia pokręciła głową z uśmieszkiem.

Marika kiwnęła głową i podeszła do okna.

Szkło odbijało światła miasta — miliony punktów patrzących w górę. Stellis. Jego hałas, jego brutalność pod ładnymi fasadami.

Położyła dłoń na szybie. Szkło zimne pod palcami, miasto za nim ciche i odległe.

Jakby smakowała ta krew?

Gardło ścisnęło się — sucho, z napięciem za zębami.

Język przesunął się po kłach.

Spojrzała na swoje odbicie w szybie.

Złote oczy. Przez ułamek sekundy — głębiej, za złotem —
czerwień. Nie błysk. Płomień trzymany zbyt blisko.

Mrugnęła.

Znów złote.

Odchyliła głowę i wypuściła powietrze przez nos, powoli. Dłoń
na szybie nieruchoma.

Za jej plecami Sylvia wróciła do tabletu. Marika siedziała cicho,
cierpliwa jak zawsze.



Kryjówka Tima nie była miejscem, które przykuwało uwagę od
progu.

Żadnych złocen, żadnej demonstracji. Kamienny mur, ciemne
drewno, skórzane fotele wytarte przez lata.

Adrian wyszedł z portalu i zatrzymał się o krok.

Las, mokra ziemia, żywica sosen — i pod tym wilk. Kilka warstw,
kilka watah długo razem. Terytorium. Presja na skórze, którą
znał — wyraźna, bez wrogości. Wilki kręciły się po podwórzu,
kilka spojrzeń, krótkie skinienia głową, żadnej zbędnej rozmowy.

Przed głównym budynkiem stały dwie znajome sylwetki.

Viktor — szeroki w barkach, czarne włosy, blizny na szyi widoczne z odległości, postawa rozluźniona. Elias tuż obok, ciemnobrązowe włosy, ramiona skrzyżowane. Podobni wzrostem, inny ciężar.

Viktor wypatrzył go pierwszy. Obrócił się swobodnie, bursztynowe oczy błysnęły rozbawieniem, i ruszył w stronę Adriana bez pośpiechu.

— No proszę, proszę. Mamy rodzinne spotkanko? — rzucił i chwycił go za przedramię, klasyczne przywitanie, ramię przy ramieniu, szczeka przy szczęcie.

Elias odwrócił się chwilę później. Kiwnął głową i poklepał Adriana w ramię — spokojnie, bez zbędnych słów.

— Dobrze wyglądasz — powiedział.

— Dzięki, wy dwaj również — odparł Adrian. — Jak na *starszych* panów.

Elias przymknął oczy z rezygnacją.

— Mam trzydzieści sześć lat.

— Jestem młodszy o rok — mruknął Viktor. — Poza tym, ja w przeciwieństwie do niego, dobrze się trzymam. — Uśmiechnął się pewnie.

— Wmawiajcie to sobie dalej — rzucił Adrian. — Dziadki.

Drzwi otworzyły się z cichym trzaskiem.

— Dobra, dziaciaki, zapraszam. — Tim machnął ręką, nie patrząc w ich stronę, i zniknął z powrotem w środku.

— Spierdalaj — zaśmiał się Adrian i wszedł za nim.

Biuro pachniało skórą i ciemnym drewnem, z chłodnym powietrzem z uchylonego okna. Przez szparę dochodził szum drzew i gdzieś dalej głos jednego z wilków, krótki, bez odpowiedzi. Temperatura niższa niż na korytarzu.

Tim opadł na fotel za biurkiem — ciężko, bez ceremonii. Skóra fotela przyjęła go ze znajomym skrzypnięciem.

Viktor zajął sofę — noga na nodze, ramię rozłożone po oparciu. Elias oparł się o ścianę przy drzwiach, ramiona skrzyżowane, wzrok spokojny i skupiony. Adrian siadł na krześle naprzeciwko biurka, rozluźniony, jedną ręką wsparty o kolano.

— No więc, po co nas wezwaleś? — zaczął Elias.

— Oby to było dobre, bo jest ledwo dziewiąta — dodał Viktor, nie ruszając się z miejsca. — A ja jeszcze nie wypilem kawy.

Tim spojrzał na niego.

— Dwie sprawy. — Oparł łokcie na blacie, barki lekko naprzód, i trójka mężczyzn naprzeciwko niego ucichła bez polecenia. — Moje wilki zauważyły dziwną aktywność magów księżyca na pobliskich terytoriach. Musimy się tym zająć.

Adrian zmrużył oczy.

— Co złego z magami księżyca?

Tim przeniósł wzrok na niego.

— Co wiecie o magach księżyca?

— Tacy ulepszani magowie wody — zaczął Elias.

— Nie tylko. Są *silni*. — Adrian wyprostował się lekko. — Lune trenuje pod okiem druidki.

— Racja — Tim przytaknął. — Ale to nie wszystko. Lune jest wciąż *mało* doświadczonym magiem.

Ciepło, które Adrian miał chwilę wcześniej, zgasło. Spojrzał na Tima twardo.

Tim nie zmienił wyrazu twarzy.

— Prawdziwie silny mag księżyca — powiedział powoli — może być dla nas ogromnym wsparciem. Albo naszą zgubą.

Elias oderwał się od ściany o trochę.

— Co masz na myśli? Wilki i magowie czerpią z tej samej magii.

— No właśnie. — Tim złączył dłonie. — W trakcie nowiu jesteśmy najsłabsi, w trakcie pełni najsilniejsi. Z magami księżyca jest podobnie. Tylko że oni tę pełnię mogą użyć przeciwko nam.

Viktor odwrócił głowę.

— Czyli co, są jak czystokrwieści?

Tim pokręcił głową.

— Nie. Ale są w stanie zablokować nasze wilcze siły *w całości*.

Nikt się nie odzywał.

Adrian odwrócił wzrok w stronę okna. Na podwórzu jeden z wilków Tima przechodził przez dziedziniec, cicho, skupiony.

— Dlatego musimy być uważni — ciągnął Tim. — Ta grupa działa pod dowództwem Doriana Martineza. Kiedyś był druidem, ale został wyrzucony za naganne praktyki. — Krótka pauza. — Tak to ujęła Edna.

— Dobrze. Co chcesz, żebyśmy zrobili? — powiedział Elias.

Tim poprawił się na fotelu.

— Współpracować. Zagrożenie dotyczy nas wszystkich. — Wzrok przeszedł z Eliasa na Viktora, spokojny, bez pośpiechu. — Wasze małe sprzeczki odkładacie na bok, póki nie zrozumiemy, co Dorian planuje.

Viktor uśmiechnął się gorzko.

— Myślisz, że chce swojej małej vendetty przeciwko druidom?

— Owszem. A skoro nienawidzi druidów — Tim wstał i oparł się o kant biurka — nienawidzi i nas. Mnie w szczególności.

Cisza.

Tim podrapał się po brodzie.

— Druga sprawa. — Głos równy, bez dramatyzmu. — Chcę wybrać następcę. To, jak zachowacie się w sprawie Doriana, będzie decydujące.

Cisza tym razem miała inny ciężar.

Elias odezwał się pierwszy.

— Chcesz *odejść*?

— Mam dość niańczenia takich panienek jak wy — odparł Tim.

— Chcę w końcu przejść na emeryturę. Odpocząć. Być jak najdalej od waszych parszywych gęb.

Trójka mężczyzn wymieniła spojrzenia.

— Kryzys wieku średniego — stwierdził Viktor. — Spokojnie mogę zostać alfą całego regionu. — Wskazał na siebie z pewnością nie do podważenia.

— Jasne — rzucił Elias — bo ewidentnie się do tego *nadajesz*.

Viktor spojrzał na niego ostro.

— A ty jesteś lepszy? Problem się pojawi i już płaczesz.

— *Panowie* — Adrian uniósł rękę — widzę, że ci dwaj się ewidentnie nie nadają. — Westchnął. — Niechętnie, ale przyjmę tę rolę.

Oparł się wygodniej o oparcie krzesła, jakby kwestia była już rozstrzygnięta.

— Jeden kryzys i chowasz się w tej twojej jaskini płaczu — powiedział Elias, nie podnosząc wzroku znad mapy.

Adrian uniósł palec wskazujący w powietrze — gest wyraźnego protestu — i zawiesił go tam przez sekundę.

Opuścił.

— Dwie bekсы i ja. — Viktor rozłożył ręce z uśmiechem kogoś, kto rozwiązał trudne równanie. — Wybór jest *oczywisty*.

Tim przyłożył dłoń do skroni i przytrzymał ją tam.

Viktor cedził już coś do Eliasa, Elias odpowiadał spokojnie — i przez to precyzyjniej — a Adrian oparł łokieć o kolano i obserwował ich z uśmiechem człowieka, który właśnie włączył ulubiony program.



Viktor i Adrian zniknęli za rogiem budynku.

Tim oparł się o drewnianą balustradę ganku.

Powietrze na zewnątrz było gęstsze niż w środku — chłodne, z zapachem żywicy i mokrej kory, z czymś zwierzęcym pod spodem, ledwo wyczuwalnym.

Drzewa otaczające kryjówkę stały nieruchomo. Jeden z wilków Tima przeciął podwórze w odległości kilkudziesięciu metrów i zniknął między budynkami bez słowa.

Elias wyszedł za nim i stanął przy barierce — ramiona skrzyżowane, wzrok utkwiony w przestrzeni przed sobą. Długą chwilę żaden z nich się nie odzywał.

— Czemu chcesz zrezygnować? — powiedział w końcu Elias.

Tim nie odpowiedział od razu.

— Młodszy już nie będę. — Głos spokojny, bez dramatyzmu. — Nasze życie już takie jest. Dziś żyjesz, a jutro nie zawsze może nadejść.

Elias słuchał. Zmrużył lekko oczy, ale nie przerwał.

— Wiem — odezwał się po chwili, wolno — ale *nikt* z naszej trójki ci nie dorównuje.

Tim odwrócił się do niego z boku. Na jego twarzy pojawiło się coś, co rzadko się na niej gościło — rozbawienie. Autentyczne, niewymuszone.

— Oczywiście — powiedział. — Drugiego takiego jak ja nie znajdziesz.

Żadnej fałszywej skromności. Żadnego mrugnięcia. Czysta pewność, powiedziana tak po prostu, że Elias musiał westchnąć.

Głośno.

Długo.

— To prawda. — Odwrócił wzrok z powrotem na podwórze. — Dołożymy wszelkich starań z tymi magami księżycy. — Krótka przerwa. — Ale ty też przemyśl.

Tim milczał.

Zacisnął rękę na barierce — drewno twarde i nierówne pod palcami, słoje głębokie, miejscami spękane. Patrzył na kryjówkę. Na okno biura. Na ślad naprawy przy lewym skrzydle, który zrobił własnoręcznie jakieś dwanaście lat temu i którego nikt poza nim już nie pamiętał.

— Po prostu — zaczął — mam wrażenie, jakby mój czas się kończył.

Elias odwrócił głowę.

— Co masz na myśli?

Tim nie odpowiedział od razu.

— Nazwij to — powiedział w końcu — przecuciem.

Elias patrzył na niego przez moment. Uniósł rękę i położył ją Timowi na ramieniu — pewnie.

— Żeby zabić takiego upierdliwca jak ty — odezwał się — potrzebna byłaby cała armia.

Tim spojrzał na niego z ukosa.

I obaj się zaśmiali — Elias krótko, ciszej, Tim odrobinę głębiej, z brzmieniem w klatce piersiowej, które rzadko z niego wychodziło.

Śmiech umilkł.

Tim oparł się z powrotem o balustradę i wbił wzrok w podwórze.